

KS. STANISŁAW SZMIDT SDB

PRACA MISYJNA KS. WIESŁAWA KACZMARCZYKA (1933–2000)
W AMAZONII WENEZUELSKIEJ
W ŚWIETLE JEGO KORESPONDENCJI

Ks. Wiesław Kaczmarczyk pozostawił stosunkowo bogatą korespondencję, bo około 100 listów. Pisywał swoje listy głównie do rodziców i krewnych, ale nie brak też wśród adresatów kilku współbraci. Być może było ich więcej, ale uległy zniszczeniu. Listy do rodziny zbierał najpierw ojciec ks. Wiesława, a po jego śmierci starszy brat Marian. Były też gromadzone zdjęcia z pracy misyjnej. Zresztą zdjęcia nie są najlepszej jakości. Wiele jest czarno-białych, poszarzałych, a kolorowe są niewyraźne i mają odcień brunatny. Zarówno listy, jak i zdjęcia są przechowywane skrzętnie u rodziny ks. Wiesława w Oświęcimiu. Adresatami ich są: rodzice, siostra Teresa, brat Marian, ciocia — s. Zbigniewa (serafitka), ks. Zdzisław Weder, ks. inspektor Jaceńczuk, ks. Lucjan Żelewski, ks. Stanisław Styrna, ks. Stanisław Szmidt. Część tej korespondencji wykorzystałem w książce *Przyszędłem, aby im służyć*¹. W roku 1999 w „Tygodniku Piłskim” ukazał się wywiad Rafała Zdziereli z ks. Kaczmarczykiem pod tytułem: *Z dalekiego kraju*², a po śmierci ks. Wiesława w wenezuelskim czasopiśmie „La Iglesia en Amazonas” ukazało się wspomnienie *Premio a sus 40 años* pióra M. S. Esperanzy Péreza G.³. Również czasopismo misyjne „Misje Salezjańskie” przypomniało postać ks. Wiesława, drukując nekrolog pióra ks. dyrektora Bronisława Kanta i list ks. Dariusza Łodziąny z Wenezueli dotyczący okoliczności śmierci ks. Wiesława⁴. Zachowała się też taśma magnetofonowa, którą nagrałem w Łądzie w czasie odwiedzin ks. Wiesława w 1978 r.

¹ S. Szmidt, *Przyszędłem, aby im służyć*, Wybór listów misjonarzy salezjańskich — wychowanków WSD w Łądzie, Łódź 1979.

² R. Zdzierela, *Z dalekiego kraju*, „Tygodnik Piłski” 31.08.1999 nr 35(1024), s. 43.

³ M. S. Esperanza Perez, *Premio a sus 49 años — En memoria del Padre Wieslaw*, „La Iglesia en Amasonas” a. XXI, septiembre 2000, nr 89, s. 34–36

⁴ „Misje Salezjańskie” 6(2000), nr 79, s. 15.

W artykule chcę nie tylko pokazać styl pracy misyjnej ks. Wiesława, ale również piękno jego listów. Nie piszę o nim, ale w zasadzie jemu samemu oddaję głos, cytując obszernie fragmenty jego korespondencji.

POCZĄTKI POWOŁANIA MISYJNEGO

W czerwcu 1939 r. przyjechał do Polski ks. Władysław Klimczyk, salezjański misjonarz w Indiach. Chciał odpocząć, ale i zebrać pieniądze na budowę kościoła. Niespodziewanie we wrześniu wybuchła wojna, nie mógł więc wrócić do Indii. Czas do 1943 r. spędzał w Oświęcimiu, gdzie był spowiednikiem dwudziestu kilku kleryków i współbraci. Tam spotkał go kilkuletni ministrant, Wiesio Kaczmarczyk. Sam po latach tak to wspominał: „To było w czasie okupacji niemieckiej. Wychowywałem się w Oświęcimiu. Tam chodziłem do szkoły podstawowej, tam jako ministrant służyłem do mszy świętej. Któregoś dnia przybył do nas misjonarz z Indii, przyjechał do Polski na wakacje i zastała go wojna... Był wysoki, miał brodę; wielu uważało go za Żyda. Dla mnie jednak był kimś zupełnie innym — skarbnicą wiedzy o odległych krańcach świata, o konieczności przekazywania Dobrej Nowiny, o pracy misyjnej. Byłem wówczas jeszcze małym chłopcem, jednak myśl o misjach nie opuszczała mnie od tamtej pory”⁵.

Najpierw trzeba było jednak zostać księdzem, dlatego po ukończeniu szkoły powszechnej oraz średniej w szkole salezjańskiej w Oświęcimiu wstąpił do nowicjatu w Czerwińsku, a znalazł się tam dzięki przypadkowemu spotkaniu z ks. inspektorem Stanisławem Rokitą z Łodzi. Ks. Rokita znał Wiesia z Oświęcimia z czasów wojny. Początkowo Wiesław chciał wstąpić do nowicjatu w Kopcu. Na skutek zaistniałych trudności postanowił pójść do franciszkanów. Spotkanie z ks. Rokitą zdecydowało, że został salezjaninem. Był to rok 1952. W Czerwińsku w nowicjacie, o ile pamiętam, było nas wtedy około 60 chłopców z pozamykanych na początku lipca małych seminariów w Sokołowie, Łądzie, Fromborku. Pamiętam też, że te pierwsze dziesięciodniowe rekolekcje głosił nam ks. Józef Strus, późniejszy inspektor, i ks. Józef Gregorkiewicz. Wiesław miał wówczas 19 lat, ale nie był najstarszy, bo przewyższał go na pewno Władysław Odziemczyk (ur. 1923 r.) o 10 lat, inni o rok, dwa. Wiesław Kaczmarczyk urodził się 31 lipca 1933 r. w Oświęcimiu. Był jednak najbardziej zaawansowany w wiedzy. Miał skończonych 11 klas. My byliśmy w większości po 9 klasach. Śluby złożyliśmy 2 sierpnia 1953 r. i tu się nasze drogi rozeszły. Niedokształceni małoseminarzyści poszli częściowo do Woźniakowa, częściowo do Łądu na kończenie szkoły

⁵ Por. R. Zdzierela, *op. cit.*, s. 43.

średniej i filozofii. Wiesio został posłany na asystencję najpierw do Rózanego-stoku, a gdy władze zlikwidowały tamtejszy dom, do Łądu, gdzie miał też okazję uzupełnić filozofię. Spotkaliśmy się w Łądzie po sześciu latach. Ja w 1959 r. rozpoczynałem teologię, on ją kończył. Pod jego opieką był słynny wał okalający ogród i broniący zasiewy przed wodami wezbranej Warty. Dyrektor, a potem ekonom łądzki, ks. Czepułkowski zrobił z części wału prawdziwe cudo botaniczne. Przedziwnymi i pięknymi kwiatami i krzewami opiekował się Wiesław. Pamiętam, że na pytanie, jak się jakiś oryginalny kwiat nazywał, miał jedną odpowiedź „naukową”: *nescio vulgaris*. Świecenia kapłańskie otrzymał 29 czerwca 1960 r. z rąk ks. bpa Antoniego Pawłowskiego, ordynariusza diecezji wrocławskiej, do której należy Łąd. Tak wspomina o próbie realizacji marzeń misyjnych: „W trakcie studiów miałem możliwość napisania podania o misję. Nie skorzystałem jednak z niej. Może nie byłem jeszcze odpowiednio dojrzały? Wiedziałem, że jeszcze nie czas. Ukończyłem filozofię i teologię i w 1960 roku zostałem wyświęcony na kapłana. Wówczas dopiero zwróciłem się do przełożonych z prośbą o wysłanie mnie na misję. Nie wskazywałem jednak kraju docelowego. Oddałem się do całkowitej dyspozycji. Przełożeni mieli bowiem znacznie większe rozeznanie w potrzebach kadrowych, w placówkach misyjnych za granicą. Po kilku miesiącach przyszło zawiadomienie, że mam pojechać do Peru. Przesłano promesę wizy oraz zaproszenie do pracy. Wpłynęły także pieniądze na podróż... Potrzebny był jednak paszport, a z tym, jak wiemy, nie było łatwo. W tym czasie zostałem wysłany do Boleszkowic (1960–1964) w powiecie Chojna, a następnie na półtora roku do Szczecina-Dąbie (1964–1965). Z prośbą o paszport zwracałem się do polskich władz wielokrotnie. Za każdym razem otrzymywałem negatywną odpowiedź z uzasadnieniem, że »wyjazd jest niebezpieczny dla bezpieczeństwa państwa«... Po czwartej odmowie mój przełożony powiedział, że dosyć pracy jest także i w Polsce. Pogodziłem się z tą myślą. W 1965 r. zostałem skierowany do Piły. Pracowałem tu przez 8 lat. Uczyłem religii w Szkole Podstawowej nr 1, przygotowywałem dzieci do komunii, byłem kapłanem szpitalnym oraz zajmowałem się głuchoniemymi [...] W 1972 roku przyjechał do Polski biskup misyjny i wikariusz apostolski z Wenezueli. Zwrócił się do księdza inspektora Feliksa Żołnowskiego z prośbą o wsparcie personalne. Były to bardzo trudne czasy. Misje w Ameryce Południowej dopiero się rozwijały. Inspektor zadzwonił wówczas do mnie, mówiąc: »Wiesław, ty kiedyś chciałeś jechać na misję. Prawda? Jeśli nadal chcesz, napisz do Wenezueli«. Tak też zrobiłem. Tym razem władze PRL nie robiły problemów. Mój wyjazd nie był już groźny dla bezpieczeństwa państwa. W 1973 roku pożegnałem się z Piłą i we wrześniu wyjechałem z kraju”⁶.

⁶ Por. R. Zdzierela, *op. cit.*, s. 43.

A pożegnanie było rzewne. Ks. Wiesław kochał dzieci. Tygodniowo miał ponad 40 godzin lekcji, praktycznie nie odchodził cały dzień od kościoła, gdzie były salki katechetyczne. Nie było wtedy jeszcze nowej plebani. Dzieci katechizował, bawił się z nimi. Trudno się było im rozstać. Miał też dla nich msze niedzielne i kazania. Dzieci kochały katechetę, a katecheta dzieci. Toteż kiedy przyszedł 9 września 1973 r., moment rozstania, trudno było utulić rozrzewnione dzieciaki i ich rodziców, jak i samego celebbransa. Koncelebrował tę mszę w asyście misjonarzy boliwijskich: ks. Józefa Draugialisa i ks. Jana Borkowskiego.

POCZĄTKI PRACY MISYJNEJ

W liście do ks. Żelewskiego tak pisał: „Podróż moja w towarzystwie kolegów wypadła bardzo dobrze i przyjemnie. Najpierw przez tydzień czasu zwiedzaliśmy Rzym. Potem zwiedzaliśmy Neapol, Turyn, Wenecję, Padwę, Weronę, Mediolan, Genuę. I już można powiedzieć, że ten trud, jaki podjęliśmy, decydując się na misje, już w znacznej części został nagrodzony. Dnia 17 października po zwiedzeniu Genui o godz. 12,00 odpływamy do Wenezueli, ale ponieważ fala z powodu wiatru była dość duża, odpłynąłem także w krótkim czasie do Rygi. Dnia 18 października odpłynęliśmy do Neapolu; 19 do Cannes we Francji, 20 do Barcelony, którą nielegalnie zwiedziliśmy (nie mieliśmy wiz), 23 dobijamy do wysp Kanaryjskich. Zwiedzamy miasto Tauriwę. Na Wyspach Kanaryjskich za tanie pieniądze można kupić wiele dobrych pomocy. Żałowałem trochę, że nie pozostawiłem Ci magnetofonu. Ciekawa rzecz, chociaż przyjechaliśmy późno w nocy, kupcy nie zamykali sklepów, czekali na nasz statek. Oczywiście, czego tam nie było! I to stosunkowo bardzo tanio. Wreszcie po siedmiu dniach bezustannej jazdy 31 października dopłynęliśmy do Wenezueli do portu La Guaira, oddalonego od Caracas 25 km. W porcie czekali na nas wiele godzin, gdyż statek był opóźniony, koledzy Polacy pracujący na misjach w Wenezueli. Powitania i radości nie było końca. Po załatwieniu spraw paszportowych opuszczamy statek włoski Donizetti i stanęliśmy na ziemi wenezuelskiej, ziemi naszej przyszłej pracy. Wsiadamy do dwóch samochodów i pędzimy piękną autostradą do Caracas. Jest gorąco, Caracas leży na wysokości około 1000 m. Wokoło góry. Najwyższy szczyt około 2250 m. Góry pokryte zielenią. Mijamy kilka tuneli, skrzyżowań, z wielkim rozmachem zrobionych. Caracas miasto kontrastów. Przyjechaliśmy do domu inspektorialnego. Inspektor wita nas bardzo serdecznie. Wszyscy mają kłopoty z moim nazwiskiem. Ponieważ była już pora poobiednia, inspektor daje trochę pieniędzy, swój samochód i jedziemy do najbliższej restauracji. Zasiadamy do stołów na chodniku przy głównej ulicy. Zamawiamy polski obiad. Na końcu deser z mieszanką tutejszych owoców. Jest nam dobrze. Jest nas

dziewięciu: Urbański Ryszard, Smaruj Andrzej, Diadia Czesław, Rozmus, pan Krzysztof Jan — koadiutor, Stachura i Brudek z południowej prowincji, Bieniek i ja. W czasie obiadu śpiewamy polskie piosenki. Wreszcie wracamy do innego zakładu, gdzie mamy przebywać do stycznia i uczyć się hiszpańskiego. W styczniu Bieniek, Brudek i ja mamy samolotem odlecieć do buszu do Puerto Ayacucho do szkoły założonej dla Indian. Do września będziemy się tam aklimatyzować i jeśli zdrowie i klimat dopisze, zostaniemy przydzieleni do poszczególnych placówek. Atmosfera w Caracas wśród współbraci jest bardzo miła, rodzinna. Witają się wzajemnie klepieniem w ramię. Pamiętam, raz jednego z kleryków w Polsce tak uderzyłem to powiedział: klepie mnie ksiądz jak starą kobyłę. Przy posiłkach jesteśmy razem. Każdy ma swój pokój z łazienką. Moje okna są zwrócone na wysokie góry. Piękny widok. Na ulicach bałagan, jeżdżą szybko i jak kto chce. Jak ktoś z szoferów czy pieszych źle jedzie, czy źle chodzi i przez to przeszkadza innym, wychylają głowy z szoferki i gwizdzą albo posyłają wiązanek słów. Raz jeden i ja otrzymałem taką wiązanek. Na szczęście nic nie rozumiałem. Jest ciepło, rozpoczęła się pora deszczowa. W ogrodach dojrzewają pomarańcze, cytryny, banany. Owoce stosunkowo bardzo tanie. Jem dużo zwłaszcza pomarańczy, bo po bananach się tyje. Krótko Ci powiem, tak dobrze duchowo i zdrowotnie jeszcze nigdy się nie czułem. Trochę tęskno za bliskimi, a jak dalej... Jeśli masz ochotę, przyjeźdź do Wenezueli. Tu naprawdę jest dobrze (na razie). Wiesz, ale warto. Za oknem chłopcy do późnej godziny w nocy (do 24.00) grają w piłkę. Jedna z drużyn przyzakładowych zdobyła w okręgu Caracas pierwsze miejsce. Cieszę się z wygranej z Anglią. Czas u nas inny niż w Polsce. Gdy w Polsce jest godz. 12.00 w południe to u nas 7.00 rano. Wybacz za styl i bałagan w podawaniu różnych zdarzeń. Pozdrów wszystkich współbraci i poleć mnie ich modlitwom. Benio⁷ niech pozdrowi moje dzieci. Napisz dużo, tak czekam na jakiś list⁸.

„18 stycznia 1974 r. o godz. 12.00 udałem się samochodem do La Guaira, gdzie znajduje się lotnisko. O godz. 13.25 startujemy. Samolot — stary gruchot — trzęsie niesamowicie. Chwytają mnie mdłości. Jedzie ze mną ks. Stanisław Bieniek i zastępca biskupa. Po trzech godzinach lądujemy o 16.30 na miejscu. Mimo późnej godziny jest bardzo gorąco. Mówiono mi, że jest tu tak gorąco, iż oddychać nie można, a ja tymczasem oddycham swobodnie. Witają nas współbracia. Po odebraniu bagaży udajemy się do siedziby ks. biskupa. Puerto Ayacucho jest stolicą okręgu Amazonas⁹.”

⁷ Ks. Benedykt Andrzejuk, który zastąpił ks. Kaczmarczyka w pracy katechetycznej.

⁸ Caracas, 3.11.1973 r. do ks. Lucjana Zelewskiego.

⁹ Puerto Ayacucho, 22.01.1974 r. do rodziców.

Ksiądz Wiesław zamieszkał w prokurze misyjnej. Był to czas na dalszą naukę hiszpańskiego, aklimatyzację i poznanie pracy misyjnej.

SAN CARLOS DE RIO NEGRO

Pierwszą placówką misyjną było San Carlos de Rio Negro. W pracę misyjną miał go wprowadzić zasłużony polski salezjanin ks. Ludwik Wojciech, pochodzący z Goczałkowic, przez wiele lat pracujący w Coromoto koło Puerto Ayacucho. Tak opisuje ks. Wiesław pierwsze wrażenia w liście do rodziców:

„Na razie terminuję u mojego »majstra« ks. Ludwika Wojciecha, a więc gotuję, sprzątam. [...] Grunt, że czuję się zadowolony. San Carlos leży na samym końcu Wenezueli, blisko równika (między 1 a 2 równoleżnikiem) nad rzeką Rio Negro. Graniczymy z Kolumbią i Brazylią. San Carlos jest powiatem. Znajduje się tu wojsko, lekarz, szkoła i poczta, ale urzędnika pracującego na poczcie jeszcze nie widziałem. Przed kilku dniami wrzuciłem list przez okno i do dzisiaj tam leży. Ks. Wojciech pocieszał mnie, że on też przed dziewięciu dniami wrzucił tam list i też do dziś na podłodze leży. Jeżeli zatem przez dłuższy czas ode mnie listu nie dostaniecie, to się nie gniewajcie na mnie, bo to nie moja wina.

Miasteczko liczy 600 mieszkańców. Jest to w promieniu kilkuset kilometrów największe osiedle. Łączność z biskupem i innymi salezjanami utrzymujemy przy pomocy radia. Codziennie o godz. 7.00 rano łączymy się z nimi, dowiadujemy się nowości i otrzymujemy polecenia. Nasze duszpasterstwo zależy w dużej mierze od poziomu wody w rzekach, obsługujemy bowiem cały szereg wiosek indiańskich po obu stronach rzeki Rio Negro, Casiquiare i Guainiya, a więc po stronie kolumbijskiej i wenezuelskiej. Długość mojej misji wynosi: wodą 270 km i lądem 54 km. Gdy ks. biskup obsadzi Maroa, będzie mniej pracy. Teraz, gdybyśmy chcieli objechać całą naszą misję, potrzebowalibyśmy całego miesiąca czasu.

Klimat jest dość dobry, bo upały łagodzi wielka wilgoć. Aczkolwiek pora deszczowa jeszcze nie nadeszła, bo rozpocznie się dopiero w czerwcu, deszcze padają codziennie i to po kilka razy. Ludzie żyją tu trochę z rolnictwa, a przede wszystkim z rybołówstwa i polowania. Są to potomkowie dawnych Indian, ale już nieco ucywilizowani. Z natury dobrzy, nie lubią tylko, gdy ktoś ma coś więcej niż oni. Nasza plebania jest dość obszerna, bo początkowo służyła również za szkołę, a pierwsi księża salezjanie byli tu równocześnie nauczycielami.

Wszystko, co wziąłem z domu, przydaje mi się tutaj. Nawet spirytus. Okazuje się, że jest to doskonały środek leczniczy. Gdy różnego rodzaju owady pogryzą i skóra strasznie swędzi, wystarczy posmarować spirytusem, aby swędzenie ustało. Nie tak dawno obsiadły mnie jakieś niewidzialne stworzonka i gryzły

niemiłosiernie i dopiero spirytus uwolnił mnie od nich. W naszym ogródku rosną banany i potężny orzech o dużych owocach i wyjątkowo twardej skorupie. Wewnątrz jednego orzecha giganta znajduje się ze dwadzieścia mniejszych. Są bardzo smaczne i pożywne, choć nie jest łatwo je rozłupać. Mamy też kilka kur. To są nasze żywicielki. Za tydzień ma przyjechać łódź z prowiantem. Jest już w drodze. Często spożywamy ryby. Jarzyn mniej, bo trzeba je sprowadzać.

31 stycznia obchodziliśmy święto św. Jana Bosko, naszego założyciela. Myślałem, że na Mszy św. znajdziemy się tylko w piątkę: ks. Wojciech, ja i nasze dwa koty z pieskiem, ale się mile rozczarowałem — przyszło aż szesnaście osób i dlatego zwierzaki musiały pozostać na zewnątrz, żeby tłoku nie robić¹⁰.

„Żyjemy dość skromnie. Można schudnąć. [Po kilku miesiącach napisze do rodziców, że schudł 21 kg! — 17 VI 1974]. Jak zacznę misjonarzować już samodzielnie, nie będę żałować pieniędzy na to, aby przyjść z pomocą nawet tym najdalszym wioskom. Myślę, że dobrodzieje się znajdą. Mieszkamy wśród oceanu lasów nieprzebytych. Z samolotu widziałem tylko lasy, lasy, lasy. Wejść w nie to koniec... Pracuję wśród Indian, ale już trochę cywilizowanych. Jest tu też sporo białych. Wszyscy mówią po hiszpańsku. Najbliższy nasz sąsiad — salezjanin to ks. Wyszomierski Bolesław, pracujący w Brazylii w Cucui, na granicy z Wenezuelą. Są tam też i siostry salezjanki. Jedzie się tam sześć godzin łodzią motorową. Będziemy tam jeździć do spowiedzi. U nas w San Carlos też przydałyby się siostry. Tyle pracy duszpasterskiej wśród dziewcząt!

Jutro po raz pierwszy odprawię Mszę św. dla ludzi. Dziś sobota — przygotowuję się właśnie do tego.

Niedziela — o godz. 9.00 odprawiłem Mszę św. Przyszło 35 osób. Mało! Teraz przygotowuję obiad. Będzie zupa pieczarkowa (od Mamusi z Polski!), a następnie usmażę trochę konserw z jajkiem. Część zostanie na kolację. W ogrodzie znalazłem drzewko cytrynowe. Oberwałem ocalałe owoce. Będzie do herbaty na kilka dni. Rosną również banany i pomarańcze, ale korzyści żadnej z nich nie ma, bo kradną nam jeszcze zielone, gdy wyjeżdżamy w objazd. Trudno upilnować. Każdy chce żyć¹¹.

W jednym z listów wspomina ks. Wiesław, że San Carlos jest utopione w ogromnej i nieprzebytej puszczy. „Z okna samolotu widać było tylko lasy, lasy i lasy — wpaść w nie to koniec”. Po latach uratuje biednych rozbitków samolotu przed niechybną śmiercią¹². Uchwycił swoim radiem ich wołanie o pomoc i powiadomił wojsko. Jedyną drogą jest rzeka, trzeba było więc nauczyć się pływania po niej, co nie było łatwe. Początkowo objeżdżał parafię misyjną razem z ks. Wojcie-

¹⁰ San Carlos, 6.02.1974 r. do rodziców.

¹¹ San Carlos, 26.01.1974 r. do rodziców.

¹² San Carlos, 12.06.1976 r. do rodziców.

chem, potem wyruszył z motorniczym, a wreszcie będzie odbywał podróże misyjne całkowicie sam.

Tak więc oprócz języka trzeba było opanować „umiejętność pływania motorówką po rzece. Nie jest to łatwe, ponieważ w niektórych miejscach, często najmniej spodziewanych, jest bardzo płytko. Nietrudno wówczas pozbawić się jednego środka transportu i utknąć gdzieś w dżungli. Jedyne, ponieważ na obszarze mojej misji transport rzeczny jest jedynym sposobem komunikacji. Postanowiłem wówczas, że rozpocznę samodzielne wyprawy. Kiedy wyruszyłem po raz pierwszy, wszyscy się dziwili. Uśmiechali się, lecz byli dosyć sceptyczni. Trudno się dziwić, skoro po przepłynięciu zaledwie kilometra popsuł mi się silnik i na kilka miesięcy musiałem zaniechać wypraw do odległych wiosek. Tak, tak, bo w przypadku awarii trzeba uzbroić się w cierpliwość. Najpierw trzeba przesłać zawiadomienie do Caracas. Trwa to bardzo długo, zwłaszcza że są to znaczne odległości, komunikacja jest ograniczona, a nie wszyscy dokoła są chętni do pomocy. Trochę czasu zabiera sprowadzenie odpowiedniej części. Trzeba cierpliwie czekać na jej dostarczenie.

Podczas kolejnego wyjazdu miałem już więcej szczęścia. Po trzech godzinach drogi dotarłem do pierwszej osady. W ten sposób zaczęły się moje prawdziwe wędrówki misyjne. Niestety, kłopoty zdrowotne sprawiły, że kilkakrotnie mdlałem w trakcie drogi, co pewnego dnia mogłem przypłacić życiem¹³.

Lekarz w Caracas stwierdził, że te omdlenia są wynikiem głodzenia się i strachu (stresów). Ks. Wiesław niedojadał i ciągle obawiał się, czy motor nie zawiedzie, czy ludzie dopiszą, czy finanse wystarczą. Mimo to „regularnie co dwa tygodnie odwiedzam każdą wioskę ze swojego okręgu. Jest ich około 22 i znajdują się w Wenezueli i Kolumbii. Z przekraczaniem granicy nie ma kłopotów. Dla księdza droga jest otwarta. Ludność jest na ogół zyczliwa. Problemy zaczynają się jednak pojawiać, kiedy ksiądz wkracza w sferę polityki... Wówczas może się to różnie skończyć. Jednak w moich wioskach mogę się czuć bezpiecznie. Aby dotrzeć do nich wszystkich, muszę przemierzyć ponad 700 kilometrów. Całość trasy pokonuję łodzią. Najbliższa droga lądowa znajduje się bowiem w odległości prawie 400 kilometrów, w Puerto Ayacucho¹⁴.

Po latach będzie wspominał te pierwsze dni w San Carlos: „Przez ponad miesiąc aklimatyzowałem się w San Carlos de Rio Negro. Uczyłem się wszystkiego: języka, zwyczajów, geografii, tamtejszych problemów — słowem wszystkiego, co niezbędne do pełnienia funkcji misjonarza wędrującego, którym miałem wkrótce zostać. W tajniki tamtego świata wprowadzał mnie polski misjonarz Ludwik Wojciech. Z nim jeździłem do pobliskich wiosek, uczyłem się języka.

¹³ Por. R. Zdzierela, *op. cit.*, s. 43.

¹⁴ Por. R. Zdzierela, *op. cit.*, s. 43.

Niestety, po sześciu miesiącach przełożeni zorientowali się, że mój hiszpański jest — delikatnie mówiąc — na niezadowalającym poziomie i przysłali mi miejscowego. Został nim ks. Fabiano Garcia, Hiszpan z pochodzenia”¹⁵.

AMBASADOR POLSKOŚCI

„Prawdę mówiąc, to ludzie tutejsi tylko dzięki nam dowiadują się coś o Polsce. W Maroa chłopcy chcieli się nawet nauczyć kilka słów po polsku. Powtarzałem im „dzień dobry” chyba ok. pół godziny, ale wątpię, czy zapamiętali. Często sami pytają o nasz kraj. Lubią słuchać opowiadań o naszej historii, geografii, ludziach. Oni pierwsi przynieśli mi wiadomość, że Polska pokonała Argentynę w piłkę nożną”¹⁶.

W jednym z listów ubolewa, że ks. Bolesław Wyszomierski po pięciu latach pracy w Brazylii zapomniał polskiej mowy. „Ja do tego nie dopuszczę”. Stąd kontakty z Polakami pracującymi w Wenezueli i korespondencja z rodzicami i współbraćmi w Polsce.

RODZICE KS. WIESŁAWA

Japońskie przysłowie powiada, że odlatujące ptaki pozostawiają gniazda. Ks. Wiesław zostawił w Oświęcimiu gniazdo, w którym się wychował, i kochających rodziców.

W jednym z listów pisze: „tak bardzo brakuje mi Was i tęsknię mocno tak, że liczę i skreślam miesiące, które mnie od Was dzielą i z utęsknieniem czekam dnia spotkania, to jednak wierzcie mi, że powziętej decyzji nie żałuję. Był to, jak mi się zdaje, najbardziej słuszny krok w moim życiu”¹⁷.

W liście do swojej siostry Teresy pisze: „Pisziesz mi, że Mama choruje. Reńniuś, troszczcie się o Mamę! Bez mamy byłoby mi tu bardzo ciężko. Ta myśl, że w Polsce jest ktoś, kto bardzo lubi, też nie bez znaczenia. A co może być większe i piękniejsze nad miłość matki”¹⁸.

Każdy list do domu był ręcznie i kaligraficznie przez ojca przepisywany do dużego albumu. Osobno zbierano zdjęcia. W książce *Przyszedłem, aby im służyć* wykorzystałem właśnie te listy. Zrobiłem to trochę wbrew ks. Wiesiowi, który

¹⁵ Por. R. Zdzierela, *op. cit.*, s.43.

¹⁶ San Carlos, 17.06.1974 r. do rodziców.

¹⁷ San Carlos, 28.08.1974 r. do rodziców.

¹⁸ Caracas, 27.07.1974 r. do siostry Teresy.

był z natury bardzo skromny, nie lubił się afiszować. Szkoda, że cenzura i redakcja sporo pozmieniała. Listów zachowało się sporo. Co się dało, zebrałem i przepisałem. Praca była żmudna, bo nasz misjonarz pisał maczkiem i niezbyt wyraźnie. Podstawowym sposobem kontaktu między ks. Wiesławem a rodzicami nie była jednak korespondencja, ale modlitwa. Nie ma listu, żeby misjonarz nie przypominał się rodzicom i rodzinie o pacierz. Zresztą była umowa, że w oznaczonej godzinie — uwzględnivszy różnicę czasu — klękali do modlitwy rodzice w Oświęcimiu i ks. Wiesław w Wenezueli, niezależnie, czy był na lądzie, czy w łodzi na wodzie.

Ojciec ks. Wiesława starał się też o obrazy do budujących się glinianych kościółków indiańskich w buszu. W jednym liście Misjonarz wspomina: „We wtorek udaliśmy się w podróż do Maroa. Po drodze ks. biskup poświęcił dwie kaplice nowo zbudowane. W jednej z nich wszyscy podziwiali piękny obraz, który Tatusz kupił w Gdyni. Jest on wielką ozdobą tej kaplicy. Ludzie są z niego bardzo zadowoleni”¹⁹.

Często prosi o przepisy kulinarne, często dziękuje za paczki. W jednym liście tak opisuje radość z paczki od mamy: „9 listopada o godz. 10-ej rano w porcie La Guaira witaliśmy ks. Wojciecha Paszendę. Pierwszy raz zobaczyłem dwa polskie statki w porcie wenezuelskim: były to »Wyspiański« i »Bolesław Śmiały«, na którym przypłynął ks. Paszenda. Udaliśmy się na »Bolesława Śmiałego« i tam z kapitanem zjedliśmy polski obiad. Najbardziej ucieszyła mnie paczka od was, Kochani Rodzice. Wybuchła salwa śmiechu, gdy na oczach kolegów z przejęciem wyciągałem z paczki ciepłe kalessony. My tu na miejscu nieraz zazdrościmy Indianom, że chodzą na Adama, a tu nagle ciepła bielizna!”²⁰.

Krewni i współbracia próbowali przysyłać paczki żywnościowe, ale ks. Wiesław szybko zrezygnował z takiej pomocy, bowiem cło było wysokie, dodatkowo po paczkę trzeba było jechać sporo kilometrów, a wiktuały przychodziły najczęściej w opłakanym stanie.

Z gościnności rodziców korzystał zwłaszcza w czasie urlopów, przypadających co pięć lat. Po nich rolę przejął brat Marian.

MISJONARZ — SPORTOWIEC

Znaliśmy Wiesia jako dobrego sportowca. Grał zawsze z zapałem w piłkę nożną. Jego brat wspomina, że ojciec jako kolejarz otrzymywał z przydziału ubranie i buty. Buty zawsze przypadły w udziale Wiesławowi. Niszczył je zresztą

¹⁹ San Carlos, 29.10.1975 r. do rodziców.

²⁰ Caracas, 28.11.1974 r. do rodziców.

bardzo szybko, właśnie grając w piłkę. Zapał sportowy nie opuścił go i na misjach. W listach często pisze o grze z chłopakami.

„1 maja (1974) wziąłem ze sobą grupę chłopaków — moich sportowców i wypuściliśmy się do Kolumbii...”²¹. „15 czerwca (1974) odwiedził mnie ks. Wyszo-mierski Bolesław. Przyjechał z grupą chłopaków i starszych. Zagraliśmy mecz w nożną”²².

„Na razie przerywam pisanie, bo słyszę krzyki: Ojczy, chodź grać w piłkę nożną. Prawie 58 lat i jeszcze mnie zmuszają do gry. Ale się jeszcze liczę jako gracz. To cieszy też.

W Solano zagraliśmy Indianie przeciw gwardii narodowej, ja grałem z Indianami. Gwardia na służbie pogranicznej z różnych stron Wenezueli: hi, hi, hi wygramy wysoko. Odpowiedziałem: zobaczymy. Wynik 4:2 dla nas. Trzy gole zdobyłem ja. Gwardia mnie nazwała truteń, bo nie biegałem dużo tylko oczekiwałem na piłkę przy ich bramce, unikając spalonego i umieszczałem gole. W 60 roku życia myślę zakończyć karierę piłkarską, jasne, jak dożyję”²³.

PRACA OD PODSTAW

Praca misyjna ks. Wiesława to nie tylko odprawianie mszy św. i sprawowanie sakramentów. „Na tych terenach potrzebna jest prawdziwa praca od podstaw. Przejawia się to na wiele sposobów. Zakładamy maleńkie szkoły, w których miejscowi Indianie mogą uczyć się hiszpańskiego. Analfabetyzm jest tam bowiem dosyć mocno rozpowszechniony. Ponadto kształcimy w podstawowym zakresie w dziedzinie rolnictwa i pielęgniarstwa. Jednak osoby chcące zdać egzamin maturalny musimy posyłać do La Esmeralda nad Orinoco”²⁴.

Ks. Wiesław opisuje też transport dzieci do Esmeraldy. Podróż w jedną stronę trwała do pięciu dni łodzią. „Ostatnio towarzyszyłem grupie młodzieży, która rokrocznie udaje się nad górne Orinoco, aby studiować w jednej z naszych szkół. Płynąłem w mojej małej łódce, tym razem z motorniczym i dobrym myśliwym, a za nami jeden dzień drogi duża grupa młodzieży w dużej łódce. Trzeba było im zapewnić jedzenie w sześciodniowej podróży do szkoły. Cóż robiliśmy? Polowaliśmy na dzikie świny i inne zwierzęta, łowiliśmy duże ryby. I gdy już zapewniliśmy im byt, wróciłem przez San Carlos do Maroa. Oczywiście spało się w ciągu tych dni na gołej, grzanej przez słońce skale. Nocami deszcz przerywał

²¹ San Carlos, 21.05.1974 r. do rodziców.

²² San Carlos, 17.06.1974 r. do rodziców.

²³ Santa Lucia, 18.12.1990 r. do brata Mariana.

²⁴ Por. R. Zdzierela, *op. cit.*, s. 43.

smaczne spanie. I tak do rana mokrzy oczekiwaliśmy pierwszych promieni słońca. Komary i moskity też dawały znać o sobie, choć mniej niż w porze deszczowej”²⁵.

Praca od podstaw to także nauka różnego rodzaju rzemiosła. W jednym z listów pisze: „Pracy jak zawsze dużo. Ale myślę, że nie tyle co w Polsce. Bo czasem, żeby dotrzeć do wioski zaplanowanej musisz płynąć trzy godziny. I w ciągu dnia nie zawsze możesz im służyć, bo albo są w dżungli na swych działkach, albo na polowaniu, albo łowią ryby. Mniej więcej o godzinie 15 zaczynają się pokazywać. Obecnie rozwijam więcej moją pracę. Dawniej, kiedy mniej umiałem po hiszpańsku, wydaje mi się, że więcej w pracy kładłem nacisk na sprawy religijne. Obecnie musi człowiek pomyśleć o wszystkim. Np. w tym roku w ośmiu wioskach zorganizowałem kursy krawieckie. Dobrze. Musiałam więc szukać materiału do szycia, nici, guzików i to z pierwszego źródła (z fabryki), bo tanio. Opisać wszystkie starania, podróże samolotem, łodzią. Czasem w jedną noc i w jednym dniu przemierzać wielkie przestrzenie, aby coś załatwić. I jakoś zawsze wyszło dobrze. Zrobiłem też kursy stolarskie (zorganizowałem), alfabetyzację. W pracy duszpasterskiej duży nacisk kładę na tworzenie wspólnot chrześcijańskich, co same mogą rozwiązywać swoje problemy materialne i religijne. Np. ostatnio, wspinając się w górę rzeki, kontrolowałem tylko pracę katechetów. I w większości wypadków byłem z nich zadowolony”²⁶.

„Na zebraniu, jakie mieliśmy przy końcu grudnia w Puerto Ayacucho, przekonali się wszyscy, nie chwalać się, że pracując według mej idei byłem na właściwej drodze. Moja idea — od początku szukałem sobie między ludźmi moich następców, którzy w razie mojej zmiany mogli gromadzić ludzi w kaplicach czy domach na spotkania religijne. Zacząłem tworzyć małe wspólnoty chrześcijańskie. I to właśnie ma być główny cel naszej pracy w całym wikariacie”²⁷.

„Ks. biskup po krótkim powitaniu otworzył mi wielkie możliwości i pomoc w postępie materialnym na moim terenie, ofiarowując wiele kursów, które pomogłyby utrwalić to, co w ciągu wielu lat rozwijałem; jasne, nie zaniedbując części duchowej człowieka. Choć, prawdę mówiąc, trudno oddzielić jedno od drugiego. Człowiek kompletny to materia i duch.

Dziwi mnie wielka życzliwość, jaką otrzymuję ze wszystkich stron. Coś niespotykanego od tylu lat na misji. Tu w domu misyjnym zdobyli mi materiał do kursów kroju i szycia. Już go wysłali do Puerto Ayacucho. Również po cenie niskiej kupili mi 150 tuzinów nylonu potrzebnego do robienia hamaków (nylon, jaki zostawiłem w domu). Płaci go Ince. Otrzymałem 12 kwasów różnego rodzaju. Otrzymałem pierwszy raz ze strony domu misyjnego dużo jedzenia, ubrań uży-

²⁵ Maroa, 9.01.1987 r. do brata Mariana.

²⁶ San Carlos, 1.08.1982 r. do rodziców.

²⁷ Caracas, 3.03.1981 r. do rodziców.

wanych, zeszytów. Z tym wszystkim pojechałem samochodem na lotnisko wojskowe z myślą o przewiezieniu tego, co nazbierałem, do San Carlos de Rio Negro. Na lotnisku przyjęli mnie bardzo dobrze. Zresztą oficerowie lotnicy w Wenezueli mają dużo szacunku do księży. Odlot jest wyznaczony na 23 IX. Myślę lecieć z nimi. Chociaż ich data nie zawsze jest pewna. Stąd mogę jeszcze zmienić czas wyjazdu do misji. Jedno wiem, że oczekuje na mnie dużo pracy także w organizowaniu katechezy, w przygotowaniu katechetów, w przygotowaniu do wszystkich sakramentów w Maroa i na wioskach indiańskich.

Ogólne wrażenie moje — to niezwykła życzliwość do mnie ze strony biskupa i wielu współpracowników. To coś niezrozumiałego dla mnie jak dotychczas²⁸.

„Pozostanę w tym samym miejscu jako misjonarz wędrujący. Praca ta sama choć bardziej rozwinięta. Ten rok będzie właściwie decydujący. Przynajmniej bardzo ważny dla nas. Wiesz, że w ciągu wielu lat robiłem różne kursy (kurs kroju i szycia, artystyczny, stolarski itd. itd.). W tym roku zdecydowaliśmy się na produkcję, tworząc zorganizowane grupy Indian (wioski), tzw. *empresas*, coś w rodzaju spółdzielni. Wszystko teraz zależy, jak będą funkcjonować. Jeśli dobrze, życie materialne tych wiosek polepszyłoby się znacznie. Ale wiadomo, dużo trudności ze wszystkich stron, a zwłaszcza ludzi, co dotychczas żyli z potu Indian, wykorzystując ich w straszny sposób. Drugi problem to transport. Myślimy o naszym własnym transporcie. I tu myślę o księżach kolegach, co pracują w Niemczech, być może, że nam pomogą materialnie. Trudności na każdym kroku.

Zdziwisz się może, że misjonarz i pisze o sprawach materialnych, a nie duchowych. Myślę, że gdziekolwiek by mnie posłali zawsze bym myślał o biednych, o ich sytuacji materialnej, moralnej, duchowej. Trudno przemawiać do nich o dobrym Bogu, gdy są głodni, niedożywieni. Wraz z postępowaniem czysto materialnym idzie postęp duchowy. Przynajmniej pracujemy nad tym. I tak było wiele chrztów osób dorosłych. W jednej tylko wiosce kolumbijskiej przygotowałem 5 młodzieńców do chrztu i pierwszej Komunii. W Santa Lucia 4 małżeństwa otrzymały pierwszą spowiedź, Komunię i sakrament Małżeństwa. O małych dzieciach się nie mówi, bo to jest normalne. Inni dorośli czekają na sakrament Małżeństwa już od kilku lat przygotowywani²⁹.

„Równoległe z procesem nauczania prowadzę działalność duchową. We wsiach katolickich, które stanowią większość, odprawiam mszę świętą, naukę dostosowuję do „potrzeb chwili”. Zdarza się, że mieszkańcy spotykają się z niesprawiedliwością ze strony członków rodziny, sąsiadów, znajomych czy też władz. Muszę wówczas pomóc im rozwiązać ich problemy, odpowiednio zinterpretować przeżyte doświadczenie itp. W wioskach, w których mieszkańcy mówią, że są ka-

²⁸ Caracas, 19.09.1996 r. do rodziców.

²⁹ Caracas, 1.08.1988 r. do brata Mariana.

tolikami, a tak naprawdę nie przyjmują do końca tej wiary, przeprowadzam jedynie liturgię słowa. Kiedyś robiłem to osobiście, obecnie — liturgię prowadzą katecheci. Po długich latach przygotowań doprowadziłem do sytuacji, w której nie ma miejscowości bez katechety. To ułatwia bardzo prowadzenie misji³⁰.

KOŚCIOŁY

„Na samym początku, wszystko miało miejsce na zewnątrz, w cieniu drzew, pod palmami. Z czasem zaczęliśmy budować kaplice. Oczywiście różnią się one od istniejących w Europie. Wykonywaliśmy je z drewnianych pali, które służyły jako fundamenty, następnie kładliśmy pomiędzy nie glinę. Natomiast dach robiliśmy z liści palmowych³¹. W jednym z listów pisze: „W kwietniu naprawiałem dach na kościele w Maroa. Robiliśmy to razem z ks. Paszendą. Ks. Wojciech pisze mi, że teraz woda nie przecieka, ale tylko wtedy, gdy deszcz nie pada. Trzeba będzie go znów naprawić. Również zabrałem się do budowania kaplic po różnych wioskach. W jednej już ukończyliśmy budowę takiej kaplicy z drzewa, gliniastego błota (ściany) i liści palmowych (dach). Nie ma co budować solidniejszych, bo ludzie często zmieniają miejsce zamieszkania. Zdarza się, że w puszczy zostaje kaplica, a ludzie wędrują w inne strony. Przy kaplicy robimy zaraz i zakrytą, która równocześnie służy mi za mieszkanie, gdy do danej wioski przyjeżdżam. Jakże to przyjemnie odpocząć po podróży we własnym mieszkaniu — zakrytym. Jedną poświęciłem na Św. Piotra i Pawła. Do wykończenia czeka jeszcze pięć. Myślę, że wystarczy tyle w jednym roku!³²”

NIEBEZPIECZEŃSTWA

„Pisziesz mi, Ciociu, że udaję odważnego. Nic z tego. Wiedz, Ciociu, że przed wyruszeniem w każdą podróż mam dużo strachu, nie wiedząc, co ta podróż przyniesie i przez to przed każdą podróżą jestem bardzo nerwowy. Po przejechaniu kilku kilometrów staję się obojętny na wszystko, na najgorsze. I tak co miesiąc. Teraz wody mało, podróż bardziej niebezpieczna”.

„W mojej misji większość to katolicy, ale są i takie wioski, gdzie wszyscy są katolikami, ale żaden nie jest ochrzczony, nawet dorośli. Ale tak, są katolikami. Dużo nie praktykuje religii katolickiej³³”.

³⁰ Por. R. Zdzierela, *op. cit.*, s. 43.

³¹ Por. R. Zdzierela, *op. cit.*, s. 43.

³² San Carlos, 15.07.1975 r. do rodziców.

³³ San Carlos, 19.12.1975 r. do s. Zbigniewy Kaczmarczyk.

Pracy misyjnej towarzyszą nie tylko stresy. Zachowały się dwa opisy spotkania z tygrysami, są tam też narzekania na trudności językowe, nie tylko w opanowaniu hiszpańskiego, ale też w dogadaniu się z Indianami w ich językach. Trapią go choroby, miał operacje w szpitalu w Caracas, kilka razy w drodze zgubił motor przy łodzi, wiele razy był bezradny w czasie przejazdu przez najeżoną skałami rzekę. Były trudności z ludźmi, o których wprost nie wspomina, ale można się ich domyśleć choćby ze zdania przy opisie spotkania z tygrysami: „nieraz i zwierzęta są mniej niebezpieczne niż ludzie”. Oto kilka fragmentów z korespondencji ks. Wiesława, gdzie opisuje te trudności.

„Praca jest szara, prosta, nieraz trudna, kosztuje trochę wysiłku przy dużym upale lub deszczu, stąd jadąc tu, trzeba się nastawić na najgorsze, a wtedy człowiek będzie zadowolony na pewno. Nie jest tak źle, choć tęsknota pożera człowieka za ojczyzną, rodziną...

Ja nawet czuję się dobrze, duchowo nawet bym powiedział lepiej niż w Polsce. Przede wszystkim więcej się modlę. Wiadomo, jak trwoga, to do Boga. A jeżdżąc samotnie i jako motorzysta, ciągle jestem narażony na niebezpieczeństwo, bo Rio Negro ma dużo skał, zwłaszcza gdy wody w rzece mało. Ale najgorsze miesiące już mam poza sobą. Nieraz i śmiać mi się chciało i płakać, bo rzeka szeroka na 800 m i nie ma przejścia, bo skały, bo małe wodospadziki, ale z pomocą Bożą jakoś zawsze przebrnąłem. Trzy razy już trafiłem w podwodną skałę, a raz w nocy wjechałem na kupę piasku, ale to było przyjemne. Praca jednak daje dużo satysfakcji.

Dobrze, że nie znam jeszcze zbyt dobrze języka hiszpańskiego, bo łatwiej mi przemówić do ludzi indiańskich, którzy też go dobrze nie znają. Najwięcej mam Indian ze szczepu Kuripako, ale są też inni, trudno mi ich bez błędu nazwać. Posługują się też swoim narzeczem (językiem). Są już w znacznym stopniu cywilizowani. Raz po raz odwiedzają nas i mniej cywilizowani. Tacy, którzy czują się najlepiej bez ubrania i z łukiem w ręku. Łuku używają do polowania, do łowienia ryb i do walki z innymi szczepami, często i między sobą. Za kilka dni udają się znowu w kilkunastodniową podróż. Wody w rzece już więcej o 2 m, a przybędzie jeszcze 4 m, a więc jest różnica między niskim i wysokim stanem wody”³⁴.

„Inna sprawa, którą chcę Ci, Marianie, opisać, jest zła i dobra, albo lepiej — wyszła na dobre. Trzy miesiące temu popłynąłem z posługą duszpasterską do kolumbijskiej miejscowości San Felipe. Po skończeniu przygotowania do pierwszej Komunii wsiadłem do łódki, włączyłem motor i naprzód. Ale zbywało mi trochę czasu, zdecydowałem odwiedzić jeszcze inną miejscowość, aby zobaczyć, co tam można zrobić (miesiąc temu skarżyli się, że oni też są katolicy i prawie żaden z nich nie jest ochrzczony). Zrobiłem łodzią gwałtowny zakręt, motor nabrał

³⁴ San Carlos, marzec 1974 r. do ks. Stanisława Styryny.

powietrza, źle przykręcony do łódki odłączył się od niej i wpadł na głębokość 12 m. Rozpacz, najlepszy mój motor, do widzenia — nigdy. Kolumbijczycy pocieszali mnie, że gdy opadnie woda znajdzie się. I opadła woda i nie znalazł się. [...]

Będąc w Caracas na leczeniu, w jednej z kaplic prywatnych (na prokurze) z księdzem prokuratorem, na jednej Mszy niedzielnej, zrobiliśmy propagandę, aby mi pomogli kupić nowy motor. I wyobraźcie sobie, po kilku dniach zebrali pieniądze na motor większy niż miałem i jeszcze zostało na części zamienne. Również znalazłem dobrodziejów na kupno nogi drewnianej dla jednego Indianina, który stracił ją przez ukąszenie jadowitego węża³⁵.

„Malaria powtórzyła się jeszcze dwa razy i teraz na nowo w porządku. Przybrałem na wadze i czuję się naprawdę dobrze. Choć trochę się przejmuję, bo malaria w tym roku się trochę rozmnożyła. Toteż zobowiązałem się raz w miesiącu odwiedzić wioski z pielęgniarem, który równocześnie jest katechetą³⁶.

„Ostatnio miałem dość interesujące spotkanie. Z braku komunikacji z jedną wioską odległą od Maroa o 32 km wyruszyłem na piechotę przez dżunglę. Już przeszedłem 25 km (mniej więcej) i na jednym zakręcie wychodzi mi na spotkanie tygrys. Stanęliśmy naprzeciw siebie. Ja błyskawicznie wyciągnąłem z torby nóż już przedtem przygotowany. Tutejsi zawsze mi mówili: »Jak, padre, spotkasz tygrysa, nie bój się, bo tygrys to czuje«. Czy to możliwe nie bać się? Więc zaatakowałem go, powoli idąc naprzeciw niemu. I cóż, zaczął się wycofywać. Ale po kilku krokach znowu zawrócił. I wtedy przypomniał mi się fortel opowiedziany przez padre Garcia: »Jeżeli spotkasz tygrysa i masz nóż, ostrz go o skałę«. Nie było skały. Ale w międzyczasie uzbroiłem się w grubą gałąź (wykorzystałem wycofywanie się tygrysa). Więc zacząłem ostrzyć nóż o tę gałąź twardą i wtedy tygrys wskoczył w dżunglę i nie pokazał się więcej. Po jednej i pół godzinie dotarłem szczęśliwy do wioski. Piszę Wam to, nie żeby Was nastraszyć, ale aby podzielić się radością i myślę, że nieraz i zwierzęta są mniej niebezpieczne niż ludzie³⁷.

„Teren pracy jest bardzo obszerny, być może samochodem byłoby dużo lepiej i szybciej, bo z wioski, które są odległe od San Carlos o 40–50 km można by było powrócić nawet nocą i spać wygodnie w domu. Ale wiemy, że to jest niemożliwe, bo nie ma dróg, więc dojazd tylko wodą. Jednak z Maroa do wioski Yavita (32 km) jest droga leśna w okropnym stanie, ale się przejeżdżę, zwłaszcza moim motorowerem. Pewnego razu napotkałem dwa tygrysy. Z daleka wydawało mi się, że to psy, bo blisko Maroa. Po stwierdzeniu, że to są tygrysy, nacisnąłem na gaz i skierowałem motor przeciwko najbliższemu. Uciekł. Drugi, widząc, że uciekł jego towarzysz, uciekł w drugą stronę. I tak się skończyła historia z ty-

³⁵ Caracas, 24.03.1991 r. do brata Mariana.

³⁶ Caracas, 27.02.1989 r. do brata Mariana.

³⁷ Caracas, 1.06.1982 r. do rodziców.

grysami. Nie ma ich dużo, bo ludzie na nie polują. Skóra z tygrysa kosztuje czasami, gdy ładna, do 200 dolarów (860 boliwarów). Mięso też dobre do jedzenia, chociaż z innych zwierząt jest smaczniejsze. Niedawno upolowaliśmy kilka małp. Nie wszyscy jędzą mięso z małpy. Kazałem więc je przygotować dobrze kucharzom i podać do stołu. Spytałem potem, czy smaczne mięso? Bardzo smaczne — odpowiedzieli mi. Więc zjedliście mięso z małpy. Mała konsternacja. Ja jem wszystko to, co jedzą nasi ludzie i być może przez to czuję się dobrze. Bo w innym wypadku trzeba by było jeść stale konserwy, a to jest szkodliwe dla zdrowia. Hodowla owiec nie wyszła nam. Pozostały tylko w jednej wiosce. Sprowadziłem krowy (3) do jednej wioski — zgubiły się w dżungli. Szukaliśmy ich. Może się znajdują. Czasami myślę, że ci Indianie nie są przygotowani do hodowli. Chcą mieć owce, krowy, ale chcą, by się chowały same, bez ich udziału, a to jest niemożliwe. Jednak dokonuje się w naszych stronach stały postęp. Już wiele wiosek ma prądnice elektryczne, szkoły aż do trzeciej klasy, infirmary. Budujemy domy ludowe z różnym zadaniem, robimy kursy stolarskie, krawieckie, artystyczne (robienie różnych przedmiotów), a także rozwijamy wśród młodych sport. Przygotowujemy ich także religijnie do życia religijnego bez opieki księdza, bo jest nas coraz mniej. Od 21 października do 1 listopada miałem wizytację biskupa. A więc w ciągu 12 dni odwiedziliśmy wszystkie wioski aż do granicy z Brazylią. Biskup był bardzo zadowolony, bo wydaje mi się, że zdołałem stworzyć w różnych wioskach dość rodzinną atmosferę. Przyjmowali go ludzie serdecznie. Dnia 5 listopada po święcie (odpuście) św. Karola (San Carlos) wraca do Puerto Ayacucho. Ksiądz inspektor, który nas odwiedził, również był bardzo zadowolony z pracy mojej. Kupił mi aparat fotograficzny dobrej marki. Posyłam zdjęcie zrobione tym aparatem. Gdy Was odwiedzę, zbachycie także przezrocza³⁸.

„Na terenie mojej misji w czasie mojej nieobecności było trochę konfliktów między wojskami a poszukiwaczami złota z Kolumbii i Brazylii. Mówią, że złowiono ryby zatrute rtęcią przez poszukiwaczy złota: niebezpieczeństwo dla naszego zdrowia i życia. Jasne, są jeszcze inne trudności, ale chyba to Was nie interesuje, a mogłoby niepokoić. Ważna jest chęć do dalszej pracy. To ważne, bo ksiądz powinien ożywiać innych do działania dobrego, a nie zniechęcać³⁹.”

MIŁOŚĆ SILNIEJSZA OD ŚMIERCI

„Jestem sam. Sam? Dookoła żyją ludzie bardzo życzliwi z trybu Baniba, co się bardzo cieszą, gdy jestem z nimi i smucą się, gdy muszę ich opuścić, by

³⁸ San Carlos, 3.11.1980 r. do rodziców.

³⁹ Caracas, 19.09.1996 r. do brata Mariana.

odwiedzić i służyć wioskom wzdłuż Rio Negro. Tak że tworzymy jedną rodzinę. Założyłem w Maroa centrum młodzieżowe, tak że gdy jestem, Maroa ożywia się, muzyka, śpiewy, zawody sportowe, przezrocza; nie mówiąc o ożywieniu religijnym. Niedawno przygotowałem do pierwszej Komunii wielu starszych ludzi, mieli otrzymać sakrament małżeństwa. Zaprosiliśmy biskupa. Święto na całą parę ku zadowoleniu wszystkich. Zresztą po co to pisać⁴⁰.

„W grudniu objechałem ostatni raz w 1979 roku wszystkie wioski, zatrzymując się w La Comunidad 2 tygodnie, by przygotować pierwszą Komunię. Żeby nam nie było głodno, postarałem się o 100 litrów benzyny i z całą wioską wyruszyliśmy w głąb dżungli na przygotowanie do pierwszej Komunii, a także zaopatrzyć się w jedzenie na pierwszą Komunię i święta Bożego Narodzenia. Na pierwszym postoju blisko ich „conuco” (pólko) zostawiliśmy kobiety i dzieci i jednego mężczyznę (można powiedzieć ojca i dziadka wszystkich). Zaś z młodszymi mężczyznami (myśliwymi) i z tymi, co przygotowywali się do pierwszej spowiedzi, popłynęliśmy jeszcze jeden dzień drogi łodzią motorową w głąb dżungli. Spaliśmy, gdzie się dało. Najczęściej pod gołym niebem, gdzieś na skale, albo w hamaku między drzewami. Jedliśmy, co Bóg dał z polowania albo z połowu i jeszcze musieliśmy, co zbywało, zasolic, aby zostało na Święta dla wszystkich rodzin. Religię miałem w czasie wolnym 3 razy dziennie albo w łodzi, albo na skale, lub w prowizorycznie skleconej chacie. Przygotowanie wypadło — mnie się wydaje — najlepiej, jak dotychczas. Dało się to zauważyć w czasie pierwszej spowiedzi i Komunii św. Komunia święta odbyła się w noc Bożego Narodzenia. Bałem się troszeczkę, żeby mi starsi nie wypili coś ostrego, jak to bywa z okazji Świąt. Nic z tego, ni jednej kropelki nie wypili. Co potem było po moim odejściu, nie wiem. Ale wytrzymali jednak, to im się chwali. Przed północą dzieci i młodzież z różnymi instrumentami własnej produkcji obchodziła wszystkie rodziny po kolei, grając i śpiewając kolędy. A że wszyscy ich częstowali kawą, stąd też w czasie pierwszej Komunii wszyscy byli bardzo bladzi. Przestraszyłem się trochę. Potem wytłumaczyli powód tego (wypili na raz za dużo kawy). Komunia wypadła bardzo pięknie. Mieliśmy też choinkę i żłóbek w nowo wybudowanej kaplicy. Kaplicy skromnej, bo zbudowanej z drzewa, błota i liści palmowych, ale pięknej, bo wytynkowanej i wymalowanej. W kaplicy tej znajduje się obraz św. Róży, wymalowany w Polsce. Mamy też w tej wiosce piękny dom, przeznaczony na różne cele. Nazwałbym go domem kultury, bo w nim się gromadzimy, mamy trochę książek, tu uczymy starszych czytać, pisać i rachować, rozwijamy sport i rozstrzygamy w nim różne sprawy⁴¹.

⁴⁰ Puerto Ayacucho, 19.06.1983 r. do rodziców.

⁴¹ San Carlos, 30.01.1980 r. do rodziców.

W czasie ostatniego pobytu w Polsce powiedział dziennikarzowi: „Cały czas nie przestaję pamiętać o ludziach, których zostawiłem na tamtym kontynencie. Niedługo będę wracał. Muszę wysłać 30 osób na maturę. To duży wysiłek finansowy i organizacyjny...”⁴².

W 2000 roku obchodził czterdziestolecie kapłaństwa, jednak nie mógł przybyć do Polski. W lipcu udał się do stolicy kraju, Caracas, gdzie odprawił rekolekcje. W niedzielę 16 lipca koncelebrował wraz z księdzem Ryszardem Urbańskim Mszę św. dla tamtejszej Polonii, po której z radością wracał do swoich Indian. We czwartek 17 sierpnia około godz. 13.00 utonął. Trudno powiedzieć, czy był to wypadek, o który tam nietrudno, czy po prostu zasłabł, wpadł do rzeki i utonął.

Od niezującego już brata ks. Wiesława, p. Mariana Kaczmarczyka dostałem taki list: „Pragnę tą drogą serdecznie Księdzu podziękować za wzięcie w swoje ręce pracy wspomnień o śp. ks. Wiesławie, misjonarzu salezjańskim z Rio Negro w Wenezueli. Mamy w pamięci jego ostatnią wiadomość i pozdrowienie, które przekazał telefonicznie z Caracas 15.07.2000 r. Dowiedziałem się od niego wówczas, że miał zdarzenie, którego skutkiem »dziś« byśmy już nie rozmawiali. Na pytanie moje — co to za zdarzenie — odpowiedział: korzystam z dobrodziejstwa użyczenia mi telefonu, nie mogę nadużywać czasu trwania rozmowy. Jak przyjadę w odwiedziny do kraju, to opowiem. To zdarzenie zabrał ze sobą do grobu. Od tego czasu głos jego dla mnie ucichł na zawsze”⁴³. Pan Marian wspominał, że ks. Wiesław stanął kiedyś w sądzie w obronie Indian w sporze z poszukiwaczami złota, którzy zanieczyszczali rzekę i truli ryby, podstawę żywienia Indian. Zresztą sprawę wnieśli do sądu wojskowi. Indianie wygrali sprawę, ale ktoś z tych, co przegrali opuszczając sąd, obiecał ks. Wiesławowi zemstę. Trudno dziś powiedzieć, co naprawdę było przyczyną śmierci misjonarza.

„Tragedia rozegrała się niedaleko od Maroa. Misjonarz zatrzymał się kilka kilometrów przy ogromnym kamieniu w rzece i robił sobie pranie. Znalaziono bowiem wiaderko z mokrą bielizną. Chłopiec płynący łodzią zobaczył pustą łódź misjonarza. Zaalarmował policję w Maroa. Ciała nie znaleziono. Wypłynęło dopiero w sobotę 19 sierpnia. Tamtejszy biskup zdecydował, że ksiądz Wiesław będzie pochowany na misji, gdzie pracował. Pasterz wśród swoich owiec.

Na pewno dotarła do was wiadomość o śmierci ks. Wiesława Kaczmarczyka. Po 26 latach pracy nad Rio Negro rzeka upomniała się o niego. Zginął, pełniąc posługę duszpasterską blisko wioski Isletas. Zatrzymał się, aby ugotować coś do zjedzenia, wyprać ubranie. Kamień był bardzo ślizgi, upadł, uderzył się tyłem głowy i plecami o gałąź. Prawdopodobnie wir wody go porwał. Jego ciało

⁴² Por. R. Zdzierela, *op. cit.*, s. 43.

⁴³ Oświęcim, 18.12.2000 r.

odnaleziono w sobotę rano, pochowaliśmy go w Maroa w jego kościele wśród wielkiego płaczu przyjaciół i parafian.

Kiedy wypłynęliśmy nocą z piątku na sobotę z Esmeraldy, jeszcze mieliśmy nadzieję, że pomożemy w poszukiwaniach, że może się zgubił w puszczy. Niestety, po 12 godzinach jazdy motorówką przyплыliśmy na pogrzeb.

Odszedł na wieczny odpoczynek w Królestwie Bożym Wielki Misjonarz i wspaniały człowiek, był naszym przyjacielem i zawsze pozostanie w naszej pamięci.

W jego pokoju znaleźliśmy bardzo mało rzeczy osobistych. Czytał książkę *Maryja Matka życia*. Wszystko, co miał, było dla Indian, dla jego parafian. Oni w dniu pogrzebu przyrzekli, że za żadną cenę nie oddadzą ani jednego z 18 centów, które obsługiwał i które prowadził. Myślę, że jest szczęśliwy, widząc, że to, co rozpoczął, będzie kontynuowane. Mamy jednego współpracownika więcej w Niebie". (ks. Dariusz Łodziana — Wenezuela).

Pani Esperanza Perez z instytucji charytatywnej w Puerto Ayacucho tak wspomina „Padre Veslav”: „W sierpniu 1996 r., kiedy zaledwie stawialiśmy pierwsze kroki, [...] przyszedł do nas misjonarz o solidnej budowie, europejskich rysach, bardzo białych włosach, nosił guayabere (koszula), proste spodnie na szelkach, a na stopach parę kapci. Na jego twarzy widać było ukrywane wzruszenie. W następną niedzielę miał wyjechać do Polski, by odwiedzić bliskich. Pierwsze wrażenie, jakie na nas zrobił, nie uległo zatarcu, [...] zresztą we wszystkich naszych późniejszych kontaktach pozostał takim, jakim go wtedy poznaliśmy.

Tamtego dnia mówił o trzech wioskach, gdzie znajdowały się małe szkoły, ale on chciał otworzyć jeszcze kursy nauki czytania i pisania. Zaproponował nam otwarcie dwóch kursów: stolarki oraz kroju i szycia w październiku, gdy powróci, ale myślał także o pięciu kursach tkactwa i jednym produkcji instrumentów muzycznych.

Mimochodem zostawił nam swoją listę, a wszystko było tam pomnożone przez 6. Pomyśleliśmy wtedy: ten misjonarz ma wszystko zaplanowane, wszystko przemyślane, kocha swoich ludzi, tylko szkoda, że nie ma pieniędzy na realizację projektów.

Taki był początek nie dwóch, ale dziewięciu kursów, a w jego ostatnich dniach było ich 24. Bardzo lubił robić niektóre rzeczy: iść na zakupy z którymś z naszych młodych chłopaków, którzy z nami pracowali, by wybierać narzędzia, tkaniny, nici; zapuszczał się w mało znane ulice i miejsca, żeby znaleźć to, czego naprawdę potrzebował; siadał, by posmakować jakiejś potrawy; z przyjemnością patrzyło się na niego, gdy siedział przy oknie w naszym biurze i podziwiał krajobraz, zajadając ze smakiem kanapki. Ale najważniejszy był sposób, w jaki pakował zabierane przez siebie rzeczy. Nabywał specjalne worki, by wilgoć nie zniszczyła jego ładunku.

W ostatnim lipcu swego życia przyjechał cztery razy. Mogę powiedzieć, że lubił to robić. Nasze zdziwienie było większe, gdy położył na stole przywiezione ze sobą rzeczy: litr »catary«, Chrystusa pięknie wyrzeźbionego, którego zawiesił na głównym filarze naszego biura, prosząc, byśmy go stamtąd nie usuwali, oraz wiele innych figurek Chrystusa i tac wykonanych przez jego tubylców. Spytałam: Jak ojciec zachęcił Indian do wytwarzania takich rzeczy? W odpowiedzi usłyszałam: Znam drogę do was, więc mogę nadal przywozić te rzeczy. [...] Jego wizyty były okazją do opowiadania nam rozmaitych przygód misyjnych w Guainia. Dwudziestego drugiego, po zakończeniu rekolekcji, odwiedził nas po raz ostatni, a ponieważ 31 lipca kończył 67 lat, zapytaliśmy go, jak będzie je obchodził. Powiedział: »Sprawując Eucharystię, żeby się nawrócić. — Ojciec już się nawrócił! — Dla Boga więcej znaczy jeden skruszony grzesznik niż 99 świętych!«

Z wielką dumą powiedział nam, że będzie obchodził czterdziestolecie kapłaństwa i że wszyscy jego towarzysze święceń spotkają się w Polsce pod koniec miesiąca. Wtedy skorzystał z okazji i zadzwonił do Ośrodka Misyjnego w Polsce i przeprosił, że nie przyjedzie i prosił, żeby pamiętali o nim w swych modlitwach.

Dziś, gdy nie ma go już wśród nas, jesteśmy przekonani, że polska Madonna towarzyszyła mu w drodze do Ojca, gdzie otrzymał prezent życia wiecznego i świętował czterdziestolecie [...]”⁴⁴.

To, co napisałem, to tylko serdeczne braterskie wspomnienie i przypomnienie współbraciom ks. Wiesława Kaczmarczyka, wędrownego misjonarza po Rio Negro. Po skompletowaniu korespondencji, być może ukaze się coś większego. Ks. Wiesław zasługuje na to.

Sommario

Il 17 agosto del 2000 è morto nei correnti del fiume Rio Negro nelle Amazzoni venezuelane il missionario peregrinante, don Wiesław Kaczmarczyk (1933–2000). Nelle missioni ha lavorato 27 anni (1973–2000). Visitava i villaggi indiani (22) dalla parte venezuelana e colombiana, da Maroa fino a Cucui nel Brasile. All’inizio la sua sede era a San Carlos, poi a Maroa. Don Kaczmarczyk ha lavorato in parrocchia e nello stesso tempo si occupava di questioni sociali „dalle basi”: la scuola, l’artigianato, lo sport, la cultura. Egli portava i giovani dai lontani villaggi indiani al centro salesiano di La Esmeralda per lo studio. Ai più grandi proponeva la scuola dell’artigianato e il lavoro sul posto. Alla fine della sua vita dirigeva 24 officine, che si estendevano lungo il fiume Rio Negro. È difficile dire quale sia stata la causa della sua morte. Lo hanno trovato morto nel fiume, dopo alcuni giorni dal decesso.

Don Wiesław Kaczmarczyk ha lasciato abbastanza ricca corrispondenza, circa 100 lettere. Anzitutto scriveva ai suoi genitori, parenti e ai confratelli. Può darsi che le sue lettere erano più numerose, ma sono state distrutte. Attualmente sia le sue lettere che le foto si trovano nella famiglia

⁴⁴ M. S. Esperanza Perez, *op. cit.*, s. 35–35.

di don Wiesław, a Oświęcim. Una parte di questa corrispondenza ho messo nel libro „Sono venuto per servirli” (Łódź 1980). Nell’anno 1999 nel Settimanale di Piła era stato pubblicato un’intervista di Rafał Zdzierel con don Kaczmarczyk intitolata: „Dal paese lontano”. Dopo la morte di don Wiesław in una rivista venezuelana „La Iglesia en Amazonas” era stato presentato un ricordo „Premio a sus 40 annos” scritto da M. S. Esperanza Perez G. Anche la rivista misionaria: „Le missioni salesiane” aveva ricordato don Wiesław stampando il necrologio fatto dal direttore don B. Kant e un’altra lettera di don Dariusz Łodzian dalla Venezuela parlava delle circostanze della morte di don Wiesław. Si è anche conservato un nastro per registrazione, che avevo registrato a Łą, quando ero andato a trovare don Wiesław nel 1978.

Nell’articolo „Lavoro missionario di don Wiesław Kaczmarczyk — il missionario peregrinante nella Amazonia venezuelana alla luce della sua corrispondenza” desidero dimostrare non soltanto lo stile del lavoro misionario di don Wiesław, ma anche la bellezza delle sue lettere, per questo non voglio sostituirlo parlando di lui, ma cito gli ampi frammenti delle sue lettere.